TOMASZ MIŁKOWSKI

STRONA PO STRONIE

9

Norwid [illegible] szczęścia do reżyserów. Na palcach jednej ręki dałoby się zliczyć spektakle, w których poezja uszła cało, mimo że poczynając od pierwszej inscenizacji dramatu Norwida („Krakus" w Krakowie, rok 1905, z Ludwikiem Solskim) na listę teatralnych realizacji dramatów autora „Pierścienia wielkiej damy" wpisano już ponad setkę przedstawień. Toteż z wielkim zainteresowaniem oczekiwałem prapremiery „Zwolona" – jedynego dramatu Norwida, który nie doczekał się wystawienia od lat ponad stu trzydziestu.

Pomijanie w repertuarze teatralnym tego dramatu zawsze wydawało mi się błędem, nie najlepiej świadczącym o słuchu teatralnym naszych reżyserów, tak przecież lubujących się w dramaturgii romantycznej. Fakt, że Krystyna Skuszanka zdecydowała się przerwać długoletnie milczenie teatru wokół „Zwolona", trzeba więc uznać za pomyślną wiadomość, tym bardziej że prapremiera tej „monologii" (jak nazwał swą sztukę poeta) otwiera działalność artystyczną nowej dyrekcji Teatru Narodowego.

Gwoli sprawiedliwości dodać jednak trzeba, że unikanie „Zwolona" przez nasz teatr miało swoje przyczyny. Po pierwsze, ciągnął się za „Zwolonem" ogon złośliwych opinii, takich jak choćby dwuwiersz autorstwa Juliusza Klaczki: *„Promethidiony", „Zwolony" i inne androny*. Po drugie, „Zwolon" był poddawany wielokrotnie obróbce historyków literatury zafascynowanych różnymi tajemnicami tego dramatu, zwłaszcza jego sensem filozoficznym, co z kolei odstręczało od jego realizacji. Po trzecie, „Zwolon" nie pasował do modelu bohaterskiego dramatu romantycznego, nasyconego wzniosłymi treściami martyrologiczno-mesjanistycznymi. Oprócz tego – i to najważniejsze – jest to dramat nierówny. Obok ambitnego zamysłu, fragmentów błyskotliwych zawiera sporo materiału literacko chybionego, obok soczystych postaci (zwłaszcza Króla, Prezesa Ministrów i Szołoma), postaci wyjałowione, szeleszczące papierem (szczególnie tytułowy Zwolon). Zdawał sobie z tych niedostatków również sprawę sam autor tłumaczący przyjaciołom sens swego dramatu (czuł zatem, że jego warstwa filozoficzna nie broni się sama), a nawet zalecający zaledwie przerzucenie tekstu (nie zaś dokładne czytanie).

Fot. Cezary Marek Langda

Czy zatem wobec tylu wątpliwości warto w ogóle „Zwolona" zdejmować z półki, gdzie lat tyle leżał w spokoju, dając co najwyżej powód uczonym dysertacjom i subtelnym sporom? Wyżej się rzekło, że tak. Podzielam bowiem zdanie wypowiedziane przez Krystynę Skuszankę: *„Zwolon" ukazuje Norwida mało znanego, jakby nie przeczuwanego, wspaniałego ironistę, czy nawet szydercę. Jest dziełem cudownie zuchwałym – jak żaden inny dramat romantyczny i żaden inny dramat Norwida rozprawia się ze stereotypami polskiego myślenia. Ta zaskakująca formalnie tragiszopka zadziwia i poraża diagnozą stanu ducha w narodzie.* Zgoda. A nawet więcej: „Zwolon" zapowiada późniejsze osiągnięcia polskiego dramatu, tak chętnie korzystającego z formy groteski, przerysowania, przedrzeźniania rzeczywistości.

Niestety, inscenizacja w „Narodowym" nie potwierdza tych wszystkich komplementów skierowanych pod adresem autora. Jest raczej klasycznym przykładem rozminięcia się intencji z rezultatem. Formalnie wszystko jest w porządku: „Zwolona" gra się od początku do końca, obraz po obrazie (dla pewności przed każdym obrazem rozbrzmiewa gong), a nawet trochę więcej, bo poprzedza właściwy tekst dramatu „Wstęp", zaś kończy wiersz „W pamiętniku" (obydwa wygłoszone przez Ewę Krasnodębską). Może nieco rekwizytornia narodowa przygotowana przez Krzysztofa Pankiewicza razi barokiem stłoczonych form (czegóż tu nie ma: strzaskane kolumny, trzy krzyże na wzgórku, wejście do katedry, nawet przepiłowany bal). Nieszczęście wszakże polega na tym, że choć wszystko jest wedle Norwida (z z niewielkim udziałem reżyserskiego ołówka), to ducha przymało. Nic się nie klei, wszystko jest osobno, aktorzy wygłaszają teksty z atencją, brak tempa, brak fantazji, dużo za to dłużyzn i narodowej symboliki. Cóż z tego, że senna wizja Pachołęcia, które opowiada o zamurowaniu żywcem tytułowego bohatera, została pokazana na scenie, skoro sposób, w jaki to uczyniono jest suchy, pozbawiony emocji. Cóż z tego, że Ewa Krasnodębska pięknie mówi wiersze, skoro ze światem „Zwolona" nie ma nic wspólnego? Cóż z tego, że pod koniec spektaklu reżyser sięga po efekty pirotechniczne, skoro i tak cały czas zieje nudą?

A może taki naprawdę jest „Zwolon"? Chwilami – tak. I dlatego nie wystarczy go zagrać strona po stronie. Wymaga opracowania, oprawienia, wzbogacenia o inne teksty Norwida (na ten trop Skuszanka weszła zamykając całość wierszem „W pamiętniku"). Wymaga innego potraktowania kluczowego dla zrozumienia dramatu postaci Harolda, zabłąkanego w groteskowym świecie monologii podróżnika-poety. To właśnie Harold kładzie na wydarzeniach tej tragiszopki pieczęć nienormalności, jest swoistym papierkiem lakmusowym scenicznych wydarzeń.

Swoją monologię pisał Norwid po doświadczeniach i rozczarowaniach związanych z latami Wiosny Ludów. Próbował zdefiniować stan ducha rówieśnego mu pokolenia, dystansując się od zwaśnionej emigracji, od serwilizmu lojalistów, od makiawelizmu zaborców i od gorączki patriotycznej pchającej kolejne pokolenia na ofiarny stos. Wyzywał właściwie cały świat na pojedynek, oferując mu utopię „zwolenia", czyli wyzwolenia drogą wewnętrznej pracy ducha, doskonalenia moralnego, doskonalenia w trudzie. Zdawał sobie jednak sprawę, że jest to droga bez perspektyw. Dlatego jego Zwolon ponosi, musi ponieść klęskę. Dając wnikliwą analizę sytuacji, uchylił się przed wystawianiem recept. Czy to mało? To bardzo wiele. Szkoda, że o tym wszystkim nie dowiemy się na przedstawieniu w „Narodowym".

Cyprian Norwid „ZWOLON", reżyseria – Krystyna Skuszanka, scenografia – Krzysztof Pankiewicz, muzyka – Adam Walaciński, Teatr Narodowy w Warszawie.